



Ziemia Zapomnianych

Czy znasz to straszliwe uczucie, gdy wiesz, że jedyna decyzja, która nie kończy się śmiercią, to zawrócić? Cóż, marynarze nazywali ład, który właśnie mijaliśmy Wyspami Odwrotu nie bez powodu. Nie jako zaproszenie do poznania skrywanych tu tajemnic, a szczere ostrzeżenie. Nie czaiły się tu fantastyczne stwory, nie było skarbu, Łowcy Artefaktów nie szukali tutaj żadnych ruin sprzed Katakizmu. Za cieśniną, którą mijaliśmy, czekała nas tylko śmierć. Na horyzoncie zamajaczył maleńki punkt. Fioletowe światło Wiecznej Latarni otnatowej wskazywało statkom, gdzie NIE płynąć. Dla nas wyznaczało cel.

Mistrz Mihis ścisnął swój kostur kurczowo, nawet gdy spał. Odkąd wypłynęliśmy z Conidei, często ucinął sobie drzemki. Mówił, żebym też się wyspał, póki jeszcze mogę. Ale miałem trzynaście lat i płynąłem na kraniec świata, więc o spaniu nie było mowy. Otulony futrem wyszedłem na pokład, by przyjrzeć się pracy załogi.

Kilku potężnych Proletarów, ubranych zaledwie w lekkie kurtki zdawało się nic sobie nie robić z lodowatego wiatru. Ich gruba skóra w wielu miejscach wykrzywiała się w dziwne zgrubienia jakby grzyby na szorstkim pniu drzewa. Chciałem ich zapytać, czy to prawda, że są odporni też na oparzenia, ale wydawało mi się, że mają zakaz rozmawiania z nami. Starali się nawet nie patrzeć w moją stronę.

Nigdy nie widziałem na żywo prawdziwego Hezjona, ale na dziobie statku siedział sobie jeden z nich. Był opatulony w kilka warstw futer, miał także specjalne gogle, ochraniające jego olbrzymie, wylupiaсте oczy, które pilnie badały zdradliwe mgły Północnych Rubieży. Co jakiś czas dawał sygnał sternikowi i statek lekko skręcał, unikając wystających skał, wcześniej ukrytych w mlecznej mgle.

Jedynie Edowie, pracujący przy zszywaniu rozdarcia na maszcie, zerkali ciekawie w moją stronę. Przypominałem sobie o Ransie — jej ojciec był Edem. Miała po nim te pokracznie długie ręce, na każdej po dwa łokcie. Dzieciaki w mieście śmiały się z niej, a ja byłem zbyt słaby, by jej pomóc. Pracowała w winnicy jak niemal wszyscy Edowie żyjący w Daachemii. Pomyśleć, że jeszcze przed Porą Zmierzchu pomagałem jej zbierać winogrona i nie wiedziałem nawet, że jestem niemalże czystym Wessenem. A dziś, już jako uczeń samego Demona z Conidei, płynę ku Ziemi Zapomnianych.

Minęło parę godzin na wrogim morzu, gdy woda zaczęła się powoli uspokajać. Dzięki precyzyjnym wskazówkom Hezjona wypłynęliśmy w bezpieczną zatokę. Omijać musieliśmy nie tylko skały, ale i liczne wraki statków, roztrzaskanych na wybrzeżu, spowitych fioletowym światłem

otnatowej Latarni. Spojrzałem w górę. Wieczna Latarnia była wielką wieżą z szarego kamienia. Na jej szczycie obręcze wykonane zapewne z jednego ze starożytnych metali a między nimi szalał chaos fioletowych płomieni. Mistrz Mihis stał na mostku i uważnie badał wzrokiem wybrzeże. Było pusto i cicho. Skinął głową w moją stronę.



Podkascytowany pobiegłem do kajuty by założyć pełne uzbrojenie. Moje hutomejskie noże których pulsującą energię czułem nawet przez izolującą pochwę. Opancerzony w długą, zbrojoną szatę wybiegłem na brzeg. Sprawdziłem zawartość kieszeń. Wszystko było na swoim miejscu. Nagle poczułem się bezpieczny, skryty za szatą, która jeszcze nigdy mnie nie zawiodła.

Z niepokojem rozglądałem się wokół. Chyba coś ruszyło się w mroku. Zmierzaliśmy do centrum wyspy — Grobowca Aihila. Mała mapa sugerowała, że Grobowiec jest otoczony jakąś osadą. Na zachodzie za linią wyznaczaną przez trzy wielkie szczyty górskie, leżało Terytorium Niewiernych. Mistrz, siląc się na spokojny ton, zapytał:

— Co pamiętasz o starożytnych magach?

— Rozdzielili ludzkość na sześć ras — odpowiedziałem.

— I pewnie pamiętasz — wodził wzrokiem po skałach — gdzie skończyły nieudane eksperymenty tego rozdzielania?



— Tak... — zacząłem łączyć fakty.

— Skończyły tutaj — uśmiechnął się.

Zatrzymałem się zszokowany. Mistrz wskazał mi na wyłaniający się zza rogu potężny budynek. Błyszczał w świetle Latarni. Połowa konstrukcji była zrujnowana, sterczały z niej wielkie, metalowe zbrojenia, niby żebra starożytnego potwora, który rozkłada się na pobojowisku. Teraz już byłem pewien, że widzę w ciemności jakieś dziwne sylwetki. Chyba zostaliśmy zauważeni. Zaniepokojony spojrzałem na Mistrza.

— Jesteśmy ich bóstwem — powiedział cicho — dziś poznają cię jako mojego następcę.

— Spojrzałem na kostur, z którym się nie rozstawał. Ścisnął go teraz silniej niż na statku.

— Liturgia jest prosta — powiedział — Demon Mihis idzie do Krypty i wznosi Modlitwę Demona. Potem od wodza odbieramy ofiarę i idziemy złożyć ją na Steli...

Przerwał. Zbliżaliśmy się do Grobowca, a nie było słychać głosów mieszkańców. Zabudowania wyglądały na opuszczone, a niektóre domy miały ślady podpalenia.

— Jest źle — wymamrotał Mistrz — bardzo źle.

— Co tu się wydarzyło? — zapytałem.

— Nie wszyscy wyznają Demona...

— Niewierni...

Usłyszeliśmy kroki. Z drzwi otwartej Krypty wyłoniła się postać. Poruszał się jak elgabarskie goryle, wspierając pięściami o ziemię. Mimo to, jego długie i muskularne kończyny sprawiały, że górował nad nami. Gdy podszedł bliżej i mdła poświata Latarni ukazała mi jego postać, zauważyłem łokieć, który był przerośniętą dłonią, z której wyrastała reszta ręki. Miał długi, nagi ogon a jego twarz była dość ludzka, choć w oczach czaiła się bestia. Dokoła słyszałem skradanie się jego towarzyszy, ukrywających się w zrujnowanych zabudowaniach. Czekali na sygnał przywódcy.

— Dawno cię nie widziałem, Demonie — powiedział.

Mihis wcisnął mi mapę, dyskretnie trzymając palec na Steli. Spojrzał na okrycie Niewiernego, który miał na sobie półprzezroczystą, jakby żelową kapę, przewieszoną przez górną część ciała.

— Polujecie na Martwe Bestie — zauważył Mistrz

— Jesteśmy od nich silniejsi

— Mielicie zakaz! — zawołał Mihis

— Mieliliśmy wiele zakazów! — wrzasnął — Demonie!

Kostur Mihisa zaczął wibrować. Na jego końcówce ukazało się wielkie, fioletowe światło. Niewierni, nawet ci skradający się wokół nas, wydali jęk przerażenia. Mihis syknął:

— Biegiem!



Rzucił w kierunku lidera czymś, co rozświetliło cały Grobowiec. Potężne cielsko Niewiernego leżało na ziemi. Reszta ruszyła do ataku. W moim kierunku wyciągały się łapy, dłonie, pazury i macki. Wskoczyłem przez okno do jednego z opuszczonych domostw i rzuciłem granatem otnatowym. Zasłonięty szatą, słyszałem jedynie wrzaski przeciwników. Pod osłoną dymu po eksplozji, w którym widać było maleńkie fioletowe iskry, wylazłem z drugiej strony budynku i zacząłem przekradać się do Steli, gdy ziemia zadrżała. Niebo rozświetlił blask, a wrzaski Niewiernych wypełniły Grobowiec.

Poczułem szarpnięcie. Coś uderzyło mną o ścianę, a potem o ziemię. W błyskających światłach otnatowych wyładowań twarz Niewiernego wyglądała jeszcze koszmarniej. Któryś rozpiął moją szatę i odrzucił, wiedząc, że mam w niej broń. Pazury dotknęły mojej piersi. Ból. Instynktownie chwyciłem jeden z noży. Wydał charakterystyczny, pulsujący dźwięk, jak tylko opuścił pochwę. Ryk ugodzonego Niewiernego dał mi zastrzyk energii. Krwawiąc z piersi, ruszyłem do Steli.

— Mihis — usłyszałem swoje imię.

Mistrz stał niedaleko, pokryty krwią. Ścisnął pulsujący wciąż kostur. Chwiał się na nogach, więc przytrzymałem o przed upadnięciem. Wcisnął mi w dłoń swój kostur.

— Uciekajcie — wykrztusił — do Gahazy.

Moje łzy spadły na jego twarz.

— Teraz ty jesteś Demonem z Conidei.